

Stanisław Bieniasz

LOSY GÓRNOŚLĄZAKÓW

W DWUDZIESTYM WIEKU

W niemal każdym domu na Górnym Śląsku jest taka szuflada, w której znajduje się album ze zdjęciami, przedstawiającymi pradziadka w mundurze pruskim, potem w tym samym mundurze, lecz w roli powstańca albo też w mundurze Grenzschutzu, następnie jako górnik lub hutnika przed zakładem pracy, jako żołnierza wcielonego do niemieckiego pospolitego ruszenia, potem jego synów w mundurach wehrmachtu albo w mundurach wojska polskiego, jeszcze później jako górników na Górnym Śląsku albo w Zagłębiu Ruhry... Największą wartość mają te zdjęcia, które zostały opisane; kiedy odchodzą ci, którzy znali osoby, znajdujące się na fotografii, nadal wiemy: to był wujek Karl, który czuł się Niemcem i socjalistą; pojechał po rewolucji do Rosji i przyjechał bez nogi lub ręki, wyleczony na zawsze z rewolucji proletariackiej. A to jest ciotka Klara, która śpiewała w chórze kościelnym, organizowała ochronkę dla dzieci z biednych rodzin, a w czasie wojny zanosila żywność rosyjskim jeńcom, którzy w przykopalnianym obozie przymierali głodem...

W wielu szufladach oprócz albumu znajdują się stare, odręczne zapiski z frontu, listy, biografie, wspomnienia napisane po polsku lub po niemiecku, które posiadają wielką wartość osobistą dla ich posiadaczy, dla historyków zaś mogą się stać bezcennym źródłem wiadomości o tym, jak naprawdę żyli ludzie na Górnym Śląsku, co czuli, co ich bolało, jakie były ich stosunki sąsiedzkie,

jak oceniali politykę i gospodarkę w dawnych czasach, jakie popełniali błędy, jakie były ich radości i smutki.

Jacy więc byli, co przeżyli i jacy wychodzą Górnoślązacy z tego najbardziej dramatycznego i najszybszego wieku w historii ludzkości?

W wiek dwudziesty Górnoślązacy weszli głęboko podzieleni pod każdym możliwym względem: poczucia przynależności narodowej, wyznaniowym, wreszcie socjalnym. Te trzy czynniki: język, religia i status materialny były najważniejszymi wyróżnikami. Tak się składało, że podziały - mimo iż nie do końca - przebiegały według określonych wzorów.

Prawdopodobieństwo, że mówiący po polsku katolik był zwykłym robotnikiem lub chłopem, było niemal tak samo duże jak to, że mówiący po niemiecku ewangelik należał do klasy posiadających bądź kasty urzędniczej. Pośrodku znajdowała się cała gama różnych usytuowań, wynikających z sytuacji życiowych. Kim byli nasi przodkowie anno 1901? Byli górnikami i hutnikami, najemnymi robotnikami rolnymi i bogatymi chłopami, lecz także sztygarami i właścicielami hut i kopalń, byli księżmi i pastorami, byli urzędnikami państwowymi, byli kolejarzami, żołnierzami i policjantami, byli sklepikarzami i bankierami, a ich żony niemal bez wyjątku zajmowały się domem i wychowaniem dzieci w duchu katolickim, protestanckim lub żydowskim. Jedni posiadali koszulę na grzbiecie i kozę, niektórzy mieli konia lub swój warsztat, inni zaś mieli całe fabryki i latyfundia. Mieszkali w chłopskich chatkach, familokach, lub willach i pałacach. Mieli za sobą kilka klas szkoły powszechnej lub najlepsze uniwersytety. I przeważnie ci, którzy posługiwali się na co dzień językiem polskim znajdowali się na najniższych, a ci, którzy wyrosli w języku niemieckim - na najwyższych szczeblach drabiny społecznej. Zdarzały się wyjątki, ba, sporo wyjątków awansu społecznego poprzez wykształcenie, uporczywą pracę i wytrwałość albo przypadku społecznego upadku na skutek lekkomyślności lub zwyczajnej głupoty. Ostatecznie wśród największych Górnoślązaków zdarzali się Polacy pokroju Goduli, a z drugiej strony lumpenproletariat niemiecki można było spotkać w pobliżu każdego zakładu. W zasadzie jednak status materialny był dla absolutnej większości ludzi czymś stałym, ponieważ drogi awansu były przed wiekiem znacznie bardziej wyboiste i strome niż dzisiaj. Zmiana konfesji także zdarzała się bardzo rzadko, w zupełnie wyjątkowych okolicznościach.

Za to trzeci czynnik wyróżniający: poczucie bycia Niemcem bądź Polakiem stanowił zmienną o dość znacznej dynamice. Górnoślązacy zawsze

byli Górnoszlązakami, lecz zdarzało im się bywać Polakami, Niemcami lub jednymi i drugimi po trochu, albo ani jednymi ani drugimi. Cóż, nie różnili się pod tym względem od mieszkańców innych pograniczy. Dla władzy byli poddanyami pruskimi i jako tacy posługiwali się w urzędach językiem niemieckim, by w kościele i w domu porozumiewać się językiem, którego nauczyli ich rodzice. Przez sześć wieków ziemia ta nie należała do państwa polskiego, lecz właśnie tu przetrwało najwięcej słów staropolskich. Tu wchodziło się do domu przez *dźwierze*, by *powieczersać*. Równocześnie potoczny język górnoszląski wchłaniał nie tylko niemieckie zasoby leksykalne, lecz wzory fleksyjne i składniowe. Tu przez te staropolskie *dźwierze*, *nie szło* wleźć z *kolkastłą*, żeby nie *namarasić* - a potrawy czekały na wieczerzę na zapożyczonym z francuskiego niemieckim *bifeju*.

Sto lat temu Górnoszlązacy znaleźli się na rozdrożu i stopniowo zaczęli się dowiadywać, iż nadchodzą czasy wyborów. Odtąd to, kim się bywało, mogło odbić się zdecydowanie na tym, kim się było. Stąd tak wiele komplikacji i paradoksów w górnoszląskich życiorysach. Zaczynał się wiek totalitaryzmów, które wymagały od każdego człowieka jednoznacznego i bezwzględego podporządkowania się panującej doktrynie. Polityka zyskała pozycję najważniejszego czynnika, organizującego życie społeczeństwa i jednostki, i nagle to, co zawsze było dla Górnoszlązaków najważniejsze: swoboda życia wyłącznie w zgodzie z sobą i Panem Bogiem, zostało im odebrane. Nagle musieli żyć w zgodzie z celami, które większość z nich obchodziły mniej, niż zeszlóroczny śnieg.

W dwudziesty wiek Górnoszlązacy weszli więc podzieleni. O ile podziały społeczne były w zasadzie niezależne od woli jednostki i nieodwracalne w krótkim przedziale czasu, to podziały religijne, a w jeszcze większym stopniu narodowe, zależały w dużej mierze od woli pojedynczego człowieka, a intensywność ich przeżywania zależała wręcz od jego charakteru. Można zaryzykować twierdzenie, że potencjał konfliktów, tkwiący zarówno w strukturze społecznej i wyznaniowej Górnego Śląska, lecz przede wszystkim w pruskiej polityce "kulturkampf", był szczególnie pielęgnowany i rozwijany przez ludzi, którzy nie mieli na co dzień kontaktów z drugą, polsko-katolicko-robotniczą stroną, bądź też odnosili się do niej pogardliwie jako do istot niższego gatunku. To z kolei doprowadziło prostą drogą do polskiego odrodzenia narodowego, do świadomego przeżywania swojej upośledzonej pozycji głównie jako wyniku prześladowania polskości. W rzeczywistości

naczelnym celem tego, co powszechnie odbierano jako germanizację, było sprostanie wymogom nowoczesnej administracji państwowej, niewrażliwość jednak na odczucia ludności oraz stosowanie policyjnych metod walki z kościołem katolickim o rząd dusz, oraz z językiem polskim jako przeszkodą w porozumiewaniu się władzy z obywatelami, doprowadziły do czegoś wręcz przeciwnego: do zwerbalizowania marzenia o przyłączeniu do Polski jako wyśnionego kraju sprawiedliwości, w którym Górnoszlązacy nie będą spychani do roli obywateli drugiej kategorii, lecz staną się równymi wśród równych.

A przy tym niemal każda rodzina była mieszana, w niemal każdej polskiej rodzinie górnoszląskiej zdarzali się Górnoszlązacy, utożsamiający się z Niemcami i odwrotnie. I to właśnie było największym potencjałem porozumienia, tkwiącego w tej ziemi i jego mieszkańcach.

A jednak niemal przez cały nasz wiek przywleczony z zewnątrz potencjał konfliktów przeważał nad potencjałem pojednania, noszony przez ludzi w ich własnym wnętrzu.

*

Determiniści sądzą, że życie ludzkie zostało z góry zaprogramowane od poczęcia do śmierci i nikt nie ma wpływu na swoje losy. Widziane pod tym kątem biografie Górnoszlązaków świadczyłyby o niesłuchanej perfidii Losu, Boga czy Przyczyny Sprawczej. Wyjdźmy więc raczej z założenia, że w życiu każdego człowieka istnieje pewna określona liczba przypadków, na które nie ma on wpływu, oraz pewna liczba wyborów, mających konsekwencje dla niego i dla innych. Tak się jednak złożyło, że w dwudziestym wieku z reguły los drwił z mieszkańców tej ziemi i rzucał ich w sytuacje, które nader często były zupełnie sprzeczne z ich odczuciami, światopoglądem i życzeniami. Ba, nawet jeśli mogli wybierać, to pole manewru było przeważnie ograniczone do większego lub mniejszego zła, toteż po czasie każda ich decyzja jawiła się jako wątpliwa z różnych względów: politycznych, etycznych a nawet pragmatycznych. Tu nic nie było jednoznaczne i nawet najszlachetniejsze intencje niejednokrotnie nie chroniły ludzi przed klęską moralną.

Częściej jednak ludzie, wrzęgnięci w kierat spraw, z którymi się nie utożsamiali, ponosili klęski osobiste. Między innymi służąc za mięso armatnie na wszelkich możliwych frontach.

Przed pierwszą wojną światową coraz trudniej było o pracę. Wielu Górnoszlązaków wyjechało do kopalń Zagłębia Ruhry, wielu przeniosło się tuż za miedzę, do rozbudowujących się kopalń i hut Zagłębia Dąbrowskiego w

zaborze rosyjskim. Mało kto zdaje sobie dziś sprawę z tego, jak znaczący był udział Górnoszlązaków w stawianiu podwalin przemysłowych regionu, który niegdyś należał do tego samego księstwa, lecz z biegiem wieków wykształcił inną świadomość i mentalność swoich mieszkańców...

A kiedy wybuchła wojna, Górnoszlązacy powoływani do armii cesarskiej zegnali się z rodziną, by przez całe lata tkwić w okopach pierwszej wojny światowej nad Marną, wyśmiewani przez kameradów jako "Kaczmarki". Wielu z nich straciło życie, wielu wróciło bez rąk i nóg, niektórzy znaleźli się w oddziałach generała Hallera. Ci, co wracali a nie mogli liczyć na pracę, mieli dwie możliwości: wstąpić do "Grenzschutzu" lub do oddziałów Polskiej Organizacji Wojskowej, której celem było przyłączenie Górnego Śląska do odradzającej się po stu dwudziestu trzech latach rozbiorów Polski. Nie należy tu zapominać, że Górny Śląsk nie był częścią zaboru pruskiego - już od wieków znajdował się poza polskim organizmem państwowym.

I ten moment wyboru: powstanie czy Selbstschutz, był właśnie jedną z owych brzemiennech w skutki decyzji, którą mogli - a może musieli - podjąć Górnoszlązacy, by następnego dnia stanąć oko w oko z przeciwnikiem, którym mógł się okazać sąsiad, kolega z frontu, któremu zawdzięczali życie lub nawet rodzony brat. Podejmowali tę decyzję wiedzeni najróżnorodniejszymi pobudkami: poczuciem związku z Polską lub Niemcami, tęsknotą za sprawiedliwością i poczuciem buntu lub lękiem przed zmianami, wreszcie koniecznością ekonomiczną.

Niejako po drodze - pomiędzy drugim i trzecim powstaniem - odbył się plebiscyt, którego wyniki miały zadecydować o przynależności państwowej Górnego Śląska. Obie strony, nie przebijając w środkach, dołożyły maksimum starań, by przekonać niezdecydowanych i przeciągnąć ich na swoją stronę. Wyniki nie zadowolily ani jednej ani drugiej strony. Sześćdziesiąt procent głosów za pozostaniem w Niemczech, czterdzieści - za przyłączeniem do Polski. Z grubsza - miasta za Niemcami, wieś za Polską. Jak wielkie musiało być niezadowolenie społeczne, skoro dwóch na pięciu mieszkańców zdecydowało się oddać głos na coś, czego nie można było sprawdzić, bo istniało dopiero w załączkach? Jak wielka musiała być niechęć do państwa pruskiego, jeśli ludzie tak gremialnie pokonali tkwiący wszak niemal w każdym człowieku atawistyczny lęk przed nieznanym?... I jak wielkie musiało być potem rozczarowanie i niepewność tych, którzy zdecydowali się postawić na przetrwanie tej ziemi w dotychczasowym władaniu niemieckim? Przecież

po wygranym przez Niemcy plebiscycie, lecz wygranym w stylu, który w istocie był wielką klęską, nic już nie mogło pozostać na Górnym Śląsku takie, jak było dotychczas. Następny wybuch był nieunikniony.

Pod Górą Chełmską, znaną bardziej jako Góra Świętej Anny, obok Górnoszlązaków polskich i niemieckich walczyli ochotnicy z Polski, głównie z Lwowa oraz niemieccy, przede wszystkim z Bawarii. Ci ostatni właśnie, obcy, zachowywali się tak, jak wszystkie armie zachowują się na ziemi wroga: mordowali, gwałcili i rabowali. Nie obchodziło ich to, czy ktoś był rzeczywiście wrogiem ich narodu, czy wręcz przeciwnie - jego zwolennikiem mimo, iż słabo znał jego język. Wystarczyło im to, że był choć trochę inny, by zapłacił za to życiem.

Wynikiem trzeciego powstania był podział Górnego Śląska i wytyczenie granicy państwowej w poprzek podwórek, zakładów przemysłowych i pól. Granice, które do tej pory istniały w rodzinach, znalazły swoje odzwierciedlenie w geografii politycznej: linia podziału oddzielała szyby kopalniane od płuczki, familoki od chlewików, oborę od łąki. Postawiono szlabany, wartowników, założono posterunki celne. Górnoszlązacy znaleźli nowe miejsca pracy: jako celnicy, strażnicy graniczni i przemytnicy. Nijak się to miało jednak do faktu, że nagle ciotki i *ujkowie*, kuzyni i siostry, przyjaciele i *dziolchy*, do których chodziło się na *zolyty*, stali się cudzoziemcami i chcąc się do nich wybrać z wizytą, trzeba było szykować paszport.

W najgorszym położeniu znaleźli się i tak niezdecydowani: ci, co czuli się związani z jedną i drugą stroną równocześnie. W takich przypadkach granica przebiegała w poprzek serc.

Zanim jednak przez nową, fizyczną granicę na Czarnawce ruszyli w obie strony przemytnicy, zanim jeszcze wyrównano ją przynajmniej na tyle, by przywrócić związki pomiędzy podwórkowymi ustępami a mieszkańcami familoków, których mieszkańcom miały służyć, zanim chodnik wrócił do jezdnii a grobla do stawu, zaczęło się przesiedlenie. Ci, którzy głosowali na Polskę albo brali udział w powstaniach, gremialnie opuszczali pod mniejszym lub większym przymusem swoje strony rodzinne, swoje najmniejsze ojczyzny, sprowadzające się do jednego lub kilku kilometrów kwadratowych: od lasu do kościoła i od wielkiego kamienia do rzeczki. Opuszczali miejsca, w których znali każdą piędź ziemi, każdy pagórek i zagłębienie, każde miejsce, w którym rosły grzyby i każdego człowieka. Nie mieli gwarancji, że ktoś nie przyjdzie nocą i nie spali ich domu, nie napadnie na nich pod osłoną mroku albo i w

biały dzień, że nie tracą pracy i z trudem wypracowanej pozycji. Przegrali, bo postawili na kartę, która nie wyszła. Dokonali wyboru, który na razie pociągnął za sobą właśnie takie konsekwencje.

Niezmiernie trudno było uniknąć wyboru, od którego na krótką metę zależało utrzymanie pracy, a więc źródła utrzymania rodziny. Każdy wybór pociągał jednak za sobą wcześniej lub później określone skutki, przeważnie oplakane, bo dwudziesty wiek na tej ziemi był okresem wyborów pomiędzy złą lub jeszcze gorszą alternatywą.

Na razie jednak wozy ciągnęły dobytek na drugą stronę, wydawałoby się bezpieczną, bo zamieszkałą przez tych ze swoich, którzy dokonali podobnego wyboru lub też udało im się siedzieć na tyle cicho, by nikomu nie wadzić. Jeżeli przywołać przed oczy wyobraźni tabory, które ciągnęły tu z Zachodu od trzynastego wieku, można by odnieść wrażenie, że to nowi kolonizatorzy lub też jakiś "drang nach Osten". Na zdjęciach z tego okresu widzimy jednak twarze, w których nie ma ani cienia radości pionierów, idących na spotkanie swojego szczęścia. Maluje się na nich tylko tępy ból utraty własnego miejsca pod słońcem. To nic, że leży ono tylko o kilka lub kilkanaście kilometrów od ich nowej siedziby. Pomiedzy starym i nowym miejscem jest jednak granica państw.

*

Autonomia Górnego Śląska, stanowiąca swoistą kielbasę plebiscytową dla Górnślązaków, nader szybko się w Polsce międzywojennej zepsuła. Polska nie miała głowy do Śląska, zajęta przede wszystkim scalaniem zaborów w jeden organizm. Autonomiczne województwo śląskie rychło stało się czymś takim, jak gwóźdź w bucie, który przeszkadza w marszu. Ów twór propagandy wyborczej był dla reszty dążącej do ujednoczenia Rzeczypospolitej dziwaczną hybrydą, mimo iż i tak nie odpowiadał w pełni aspiracjom swoich mieszkańców.

Sejm śląski, który dorobił się imponującego gmachu w Katowicach, w ogóle nie skorzystał z niektórych przewidzianych dla niego uprawnień; skarb śląski pompował do Warszawy pożyczki, które nigdy nie zostały spłacone.

Tęsknota za rządzeniem się we własnym kraju okazała się złudna i rozwiała się, jak sen. Miejsce Niemców w administracji zajęli Polacy z innych regionów, zwłaszcza z Małopolski, a wojewoda Grażyński, sprawny administrator, okazał się całkowicie niewrażliwy na to wszystko, co stanowiło o śląskości Śląska: na bogactwo etniczne, wyznaniowe i kulturowe

województwa śląskiego i na wykształconą tu przez wieki umiejętność współżycia z innymi na płaszczyźnie osobistej. Polska międzywojenna podle obchodziła się ze swoimi mniejszościami i już wtedy zaczął obowiązywać model Polaka zunifikowanego, pełnego nienawiści do obcych, a zwłaszcza do sąsiadów. Można to zrozumieć jako wynik doświadczeń zaborów, lecz nie można tego usprawiedliwić. Górnślązacy, słabo wykształceni w swojej masie, pozostali tanią siłą roboczą, a ich nieliczne elity mogły znaleźć dla siebie miejsce w odrodzonej Polsce pod warunkiem wyrzeczenia się części swoich ideałów. Człowiek, który przyniósł Polsce Śląsk w prezencie, Wojciech Korfanty, stał się w czasach faszystowskiej sanacji wrogiem publicznym numer jeden. Podobnie jak jego największy przeciwnik po stronie niemieckiej, ksiądz Ulitzka, który stał się wrogiem Hitlera. Jeden domagał się praw dla Niemców w Polsce w celu ich spolonizowania, drugi - praw dla Polaków w Niemczech w celu ich zgermanizowania.

Większość Niemców, którzy po podziale Górnego Śląska pozostali u siebie, żyjąc teraz w Polsce, stopniowo radykalizowała się pod wpływem rozwoju sytuacji w Niemczech. Rygorystyczna polityka narodowościowa Polski ułatwiała im podejmowanie decyzji. Podczas gdy w wyborach, w wyniku których do władzy doszedł Hitler, w niemieckiej części Górnego Śląska wygrało katolickie Centrum, wśród Niemców w polskim województwie śląskim narodowy socjalizm i Führer mieli ogromną ilość zwolenników, a ich związek znalazł się pod wpływem nazistowskiej Jungdeutsche Partei. Byli jednak wśród Niemców także tacy, jak Eduard Pant, senator, którego antyhitlerowskie wystąpienia wprawiały w zakłopotanie i rosnące zniecierpliwienie rząd w Warszawie. Pant zresztą przestał być przewodniczącym Związku Niemców i senatorem, a założona przez niego partia chrześcijańska, do której mogli należeć zarówno katolicy, jak i ewangelicy, zanadto wyprzedziła swoją epokę. Pant zmarł na ołowicę przed wkroczeniem wojsk hitlerowskich.

Podczas gdy Niemcy po polskiej stronie granicy tworzyli piątą kolumnę, by wspomóc armię niemiecką w chwili napaści na Polskę, władze niemieckie, wykorzystując trudności ekonomiczne w województwie śląskim, przeciągały na swoją stronę niezaangażowanych narodowo górników, dając im zatrudnienie w kopalniach po swojej stronie i oferując mieszkania za zapisanie się do NSDAP.

Druga wojna światowa, która rozpoczęła się od prowokacji gliwickiej, przyniosła z sobą nowy podział na Górnym Śląsku: na ofiary i katów. Koło historii znów się odwróciło i ci, którzy wcześniej opowiedzieli się za Polską, znaleźli się wśród przegranych. Pierwszego września drogi zapelnili się uchodźcami, którzy nie liczyli się z tym, że wojska hitlerowskie w wyniku "blitzkriegu" w bardzo krótkim czasie spotkają się z armią sowiecką "wyrównującą" granicę. Podczas gdy część polskich celników i policjantów została przeniesiona jeszcze przed wybuchem wojny na wschód, podczas gdy część ludności uciekała, inni - byli powstańcy śląscy i harcerze - próbowali stawić zbrojny opór najeźdźcom, idąc na granicę z giwerami z pierwszej wojny światowej. Ich wysiłek nie mógł się okazać skuteczny... Jeszcze inni witali oddziały niemieckie jak wybawicieli, którzy przyszli, by ponownie połączyć podzielony *heimat*. Dla jednych zaczęły się lata hitlerowskiego terroru, dla innych - lata próby człowieczeństwa. I oto kolejny paradoks, który wystąpił nie tylko na Śląsku, lecz tu dał się odczuć ze wzmożoną siłą: ci, co stali się ściganą zwierzyną, byli w znacznej mierze zwolnieni od wyborów moralnych, podczas gdy pozostali musieli codziennie godzić się na ustępstwa moralne, by nie zostać zaliczonym do grupy "*heimatloser Ausländer*" lub wręcz do wrogów Rzeszy. Niektórzy w tej sytuacji ubiegali się o zaliczenie do wyższej kategorii *volkslisty*, inni zapisywali się do organizacji nazistowskich, chcąc wykazać się mniej lub bardziej szczerą lojalnością wobec władzy, jeszcze inni zamykali się w sobie, unikając wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym, udawali się, jakbyśmy to dziś powiedzieli, na wewnętrzną emigrację, żyjąc w zamkniętej przestrzeni swojej osobowości, a w najlepszym wypadku - swojej rodziny, chociaż to także nie było takie oczywiste, bo podziały, które od początku wieku albo jeszcze dłużej przebiegały w poprzek rodzin, teraz stały się jeszcze ostrzejsze, ponieważ okrutna władza totalitarna żądała bezwzględności posłuszeństwa od swoich poddanych. A więc ludzie zamykali się w sobie niepewni, czy za chwilę nie zostaną wyrwani do kolejnego egzaminu kolejnym zarządzeniem totalitarnej władzy. Podziały w poprzek rodzin sprawiły, iż właśnie tu bracia, którzy stanęli naprzeciw siebie w powstaniach, w latach brunatnego terroru mogli ponownie znaleźć się po przeciwnych stronach frontu. Ale równie dobrze mogli razem zasiąść do stołu wigilijnego: jeden w mundurze SA, drugi - poszukiwany przez gestapo. Totalitaryzmy mają to do siebie, że wyzwalają w ludziach niespodziewane pokłady bestialstwa, lecz z drugiej strony - nieprzeczuwalne bohaterstwo.

Zdarzało się, że rodziny poległych na froncie wschodnim, narażając się na aresztowanie i obóz podrzucali żywność jeńcom rosyjskim w przykładowych filiach obozów jenieckich czy koncentracyjnych. Nie byli w stanie beczynnie patrzeć na cierpienia wrogów.

To wszystko jednak miało przyjść później. Początek wojny przyniósł na Górnym Śląsku drugą falę wypędzenia w ciągu zaledwie dwudziestu lat. Zdeklarowani Polacy byli wysiedlani do Generalnej Guberni. Równocześnie Sowieci wywozili do Kazachstanu i na Syberię Polaków z kresów, a w ich liczbie także Górnoszlązaków, którzy dotarli podczas ucieczki lub służbowo na ziemie opanowane przez ZSRR po siedemnastym wrześniu. Wśród polskich policjantów, zamordowanych w Ostaszku, znalazło się nieproporcjonalnie wielu ze Śląska. Nie brakowało także polskich Ślązaków w Auschwitz i innych obozach koncentracyjnych. A co można powiedzieć o Żydach śląskich, którzy razem z całym swoim narodem mieli zostać w ramach "*Endlösung*" wymordowani do ostatniego człowieka? Byli współobywatelami, którzy wyjątkowo zasłużyli się dla kultury naszego regionu. Monumentalny budynek Sejmu Śląskiego zbudował żydowski przedsiębiorca budowlany, pochodzący z naszego regionu wybitni naukowcy - nobliści: Otto Stern i Edyta Geppert-Meier również należeli do tych naszych współobywateli, którzy mieli zostać zlikwidowani...

Nie chodzi o to, by porównywać skalę cierpienia, doznanych od jednej lub drugiej strony, aby w ten sposób relatywizować czyjąkolwiek winę. Ważne jest coś zupełnie innego: losy ludzkie na Górnym Śląsku okazały się wyjątkowo pogmatwane: przedwczorajszy żołnierz pruski, który wczoraj był polskim urzędnikiem, dzisiaj mógł stracić życie w obozie NKWD albo też jutro wrócić z Armią Czerwoną i wypędzać Niemców, by po latach samemu wyjechać do Niemiec, powołując się na swoją niemiecką prehistorię. Albo też mógł jako potomek szeregowego powstańca z trzecią *volkslistą* trafić ze swoją *volkslistą* numer dwa do elitarniej jednostki wojska niemieckiego, by po wojnie zostać wciągniętym w zamian za "pomoc" w "rehabilitacji" do aparatu polskiej władzy ludowej. Tu wszystko było możliwe: Niemiec mógł zostać Polakiem, Polak - Niemcem i ani przez chwilę nie musiał niczego sobie wymyślać ani wmawiać, bo w wielu Górnoszlązakach Polak i Niemiec tkwili równocześnie, biorąc górę w zależności od sytuacji. Niczego nie musiał więc sobie wmawiać, ponieważ autentycznie był po trochu jednym i drugim, a największym jego pechem było to, że ani jedna ani druga strona nie potrafiła ani nawet nie

chciała zadać sobie trudu, by ten jego dwoisty charakter zrozumieć. Tu zdarzali się ludzie, którzy potrafili sprzeciwić się rozkazowi zatopienia kopalni dwukrotnie: w trzydziestym dziewiątym, gdy wkraczali hitlerowcy i w czterdziestym piątym, gdy wkraczali sowioci. I zawsze: nawet jeśli byli bohaterami, nie przestawali być równocześnie podejrzanyimi.

Pisząc o paradoksalnych biografiach Górnolązaków nie sposób trzymać się chronologii. Chcąc zrozumieć te życiorysy, należałoby mieć bez przerwy przed oczyma wszystkie najważniejsze fakty historyczne, a równocześnie stale posiadać świadomość uwarunkowań rodzinnych, wyznaniowych i ekonomicznych, jakim podlegali, by nie zagubić się w ocenie ich decyzji o charakterze narodowym, które nie miały jednak nic wspólnego z żadnym nacjonalizmem. Górnolązak był tym, kim musiał być aby przeżyć, z reguły deklarował się jednak tylko na tyle, na ile było to konieczne, bo doskonale wiedział, że zbytne wychylenie się może się dla niego osobiście i dla jego bliskich okazać zgubne. Umiarkowanie także nie było gwarancją przeżycia, lecz dawało pewną szansę, czasem tylko odroczenie wyroku losu. Górnolązaków można było spotkać na wszystkich frontach drugiej wojny światowej: w wehrmachcie, kriegsmarine i luftwaffe, w armii generała Andersa i w Armii Czerwonej oraz w dywizji kościuszkowskiej.

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych mniejszość niemiecka stawiała pomniki i na kilku z nich pojawiły się napisy "*Unseren gefallenen Helden*" - "naszym poległym bohaterom" - pomyślałem, że powinny one brzmieć inaczej: "*Unseren Gefallenen und unseren Helden*" - "naszym poległym i naszym bohaterom". Poległymi byli żołnierzami na froncie wschodnim, w Afrika Korps, w Luftwaffe i Kriegsmarine. Bohaterami zaś ci, którzy mieli odwagę przeciwstawić się władzy Hitlera.

*

Kiedy pod koniec 1944 roku stało się już oczywistym, że Hitler przegrał wojnę, rozpoczęła się na Górnym Śląsku największa migracja, jaką pamiętały te ziemie. Niemcy przybywali tu przez całe wieki, przyczyniając się stopniowo i powoli do jej rozwoju. Najpierw zakładano miasta na prawie niemieckim, udoskonalano metody uprawy ziemi i rzemiosła, zakładano manufaktury. Później zaczął powstawać przemysł, załączki nauki, następował rozwój społeczny. Przez sześć wieków wielu Niemców spolonizowało się, wielu rodzimych mieszkańców Górnego Śląska, posługujących się językiem polskim, uległo germanizacji. Wszystko się przemieszało i dopiero pod koniec

dziewiętnastego, a zwłaszcza w dwudziestym wieku, nastąpiła gwałtowna polaryzacja. W ostatnich tygodniach 1944 okazało się, że wszyscy, którzy czuli się związani z Niemcami, są zagrożeni. Wielka ewakuacja jednak nie była już możliwa ze względu na manewr oskrzydłujący w wykonaniu Armii Czerwonej, która mając za nic życie ludzkie dążyła do zachowania przemysłu górnośląskiego.

Dawna granica podziału Górnego Śląska stała się granicą relatywnie mniejszych i większych ekscesów zwycięskich wojsk. O ile do "linii Czarnawki" Rosjanie mordowali i gwałcili sporadycznie, to za nią nic już nie wstrzymywało ich od gwałtów, rozstrzeliwania kobiet, dzieci i starców oraz grabieży. Byli na ziemi wroga i nie obchodziło ich to, że ci, którzy naprawdę byli odpowiedzialni za wojnę i system hitlerowski, zdążyli się ewakuować, na miejscu pozostali zaś w większości ludzie, których jedyną zbrodnią było to, iż mieszkali na ziemi, należącej do Niemiec, jakkolwiek nawet nie wszyscy z nich czuli się Niemcami.

W pierwszych miesiącach po wkroczeniu Rosjanie wywieźli na Wschód tysiące mężczyzn do katorżniczej pracy i w tym wypadku również narodowość wywozonych była im obojętna. Wróciło z Rosji niewiele, większość z nich tak schorowana, że w krótkim czasie poumierali. Pomniki "wdzięczności" Armii Czerwonej, które stały w każdym mieście w Polsce, na Górnym Śląsku były w gruncie rzeczy pomnikami zbrodni.

Zanim jeszcze zwycięskie mocarstwa podjęły w Poczdamie ostateczną decyzję w sprawie wysiedlenia ludności niemieckiej z terenów, na które została po wojnie przesunięta Polska, rozpoczęto szeroko zakrojoną akcję wysiedlania. Przy tej okazji wywieziono do stref okupacyjnych Niemiec wielu Ślązaków indyferentnych pod względem narodowym. Wielu Ślązakom niemieckim odmówiono jednak prawa wyjazdu, jeśli ich umiejętności zawodowe mogły okazać się przydatne na miejscu. Panowała w tej mierze pełna dowolność. Równocześnie zarówno niemieccy, jak i polscy mieszkańcy tej ziemi, byli osadzani w obozach: w Jaworznie, Świętochłowicach, Łambinowicach i wielu innych. Górnolązacy zostali w pierwszym okresie powojennym - jako byli obywatele III Rzeszy - uznani za winnych wszelkich zbrodni hitlerizmu i jako tacy pozbawieni wszelkich praw. Można ich było wyrzucać z mieszkań, rabować bezkarnie ich dobytek, pozbawiać domów i gospodarstw. Nieważne, kim się czuli. Nawet byli powstańcy śląscy w komunistycznej, "internacjonalistycznej", to znaczy absolutnie

podporządkowanej Związkowi Radzieckiemu Polsce, winni byli nacjonalizmu w imię starej Polski, Polski wyzyskiwaczy. Ci zaś, którzy walczyli w polskim wojsku na Zachodzie, byli tym bardziej podejrzani: zarówno jako byli obywatele niemieccy, jak i "pachołki kontrrewolucji", czyli "kartę reakcji".

Gdy ze Śląska wypędzano Niemców, równocześnie ze Wschodu przybywali ekspatrianci polscy, których do niedawna zgodnie z wręcz orwellowską nowomową uparcie nazywano "repatriantami". Nie oni jednak mieli być głównymi nośnikami nowej kultury w kraju, który z jednego totalitaryzmu wpadł w drugi, równie obłądny. Nową kulturę mieli szerzyć zaufani towarzysze.

W latach czterdziestych na Górnym Śląsku zwały się wszystkie możliwe nieszczęścia i nie było takiej postawy, która chroniłaby jego mieszkańców od nieszczęść albo od klęsk moralnych. Górnoszlązacy w tym okresie w ostateczny sposób zostali zepchnięci najpierw do roli mięsa armatniego, a potem siły roboczej. Wszelkie próby uchronienia siebie i swoich bliskich od niebezpieczeństw musiały skończyć się konfliktem sumienia, bo jedynym, czym mogli posłużyć się w tym celu, było osobiste zaangażowanie się na rzecz jednego lub potem drugiego systemu bezprawia. W ten sposób większość mieszkańców Górnego Śląska stała się ofiarami obydwu. Lecz zdarzali się i tacy, którzy w obydwu totalitaryzmach należeli do oprawców. Przemilczenie ich istnienia oznaczałoby poddanie się bezpłodnej martyrologii, od której już tylko krok do owej specyficznej formy pychy, jaką jest mesjanizm. Górnoszlązacy nigdy nie próbowali nikogo zbawiać, dorabiając ideologię do swoich cierpień.

*

W latach stalinowskich zamknęła się na Górnym Śląsku klatka. Kto wtedy był rozłączony z rodziną, ten długo nie mógł się z nią połączyć. Kto czuł się Polakiem, musiał tego dowieść. Kto czuł się tylko Ślązakiem, był uznawany za Niemca. Kto czuł się Niemcem, skazany był na milczenie. Nowy system tak samo jak poprzedni chciał do siebie przyciągnąć przede wszystkim młode pokolenie. Synowie wczorajszych chłopców z HJ, zbuntowani przeciw swoim ojcom ubierali czerwone krawaty wierząc, dokładnie tak samo jak niegdyś ich ojcowie, że biorą udział w czymś wyjątkowym w historii ludzkości.

Wtedy jeszcze dopuszczano Ślązaków do stanowisk. Były komunista niemiecki mógł zostać polskim sekretarzem partyjnym i przemawiać do towarzyszy: "So, my muszmy robić *schneller und besser*, coby mogli *zeigen*

tym *imperialisten!*". Po kilku latach tacy jak on zniknęli z trybun i stanowisk. Pozbywano się nawet tych najwierniejszych z wiernych, ponieważ tymczasem wyrosła kadra jeszcze bardziej zaufanych.

Po śmierci Stalina wydawało się przez chwilę, że polski komunizm będzie miał nieco inną twarz, niż sowiecki. Sprawdziło się to częściowo za Gomułki: w Polsce było na pewno inaczej, niż w ZSRR czy NRD, lecz w gruncie rzeczy system pozostał ten sam i nadal na Śląsku ludziom żyło się podle: ciężka praca za nędzne wynagrodzenie, inwigilacja, kolegia do spraw wykroczeń i wyroki za "propagowanie kultury niemieckiej", jeżeli ktoś doniósł, że na urodzinach ciotki śpiewano "*hoch soll Sie leben!*".

W tym czasie jednak klatka wypuszczała już od czasu do czasu ludzi, którzy byli na tyle zdeterminowani, by zostawić wszystko, co do nich należało, łącznie ze swojskim krajobrazem i wyjechać do krewnych, którzy uciekli bądź zostali wysiedleni do Niemiec. Przeważnie jednak, wyjeżdżając, zostawiali tu pozostałą część rodziny i podział istniał nadal, tak samo jak po trzecim powstaniu, a nawet przed nim, jakkolwiek teraz granica została przeniesiona o trzysta kilometrów na zachód.

Potem, po siermiężnym Gomułce, przyszyły czasy podszywającego się pod śląskość zagłębiowskiego repatrianta z Francji Gierka i rozpoczął się gwałtowny rozwój na kredyt. Zaczęto budować coraz większe huty i zwiększać wydobycie węgla, powstała pierwsza fabryka samochodów małosilnikowych, na Górnym Śląsku ładowano wszelką możliwą produkcją ciężką, powiększając i tak już nieznośne problemy ekologiczne. Z czasem okazało się, że właśnie tu rodzi się najwięcej upośledzonych dzieci, a średnia długość życia jest niższa o kilka lat niż w innych regionach Polski.

Nowe zakłady potrzebowały nowych rąk do pracy. Propaganda więc zaczęła prześcigać się w tworzeniu mitu śląskiego Eldorado, gdzie każdy dostaje mieszkanie, gdzie są najwyższe zarobki i gdzie nie ma żadnych problemów zaopatrzeniowych. Zaczęli się więc na Górnym Śląsku gremialnie zjeżdżać młodzi ludzie z całej Polski - najczęściej ci, którzy w swoich rodzinnych stronach nie mieli żadnych perspektyw, bo brakowało im wykształcenia, nie było dla nich miejsca na roli, a na Śląsku - zdawało im się - pieczone gołąbki same wpadają do gąbki. Miejscowi, a do miejscowych zaliczyć można było w tym okresie zarówno rodowitych Ślązaków, jak i tych, którzy przyjechali tu trzydzieści lat wcześniej, wysiedleni ze Wschodu, zostali nagle skonfrontowani z niesamowitym zalewem prymitywizmu, braku kultury

osobistej i agresywności młodych mieszkańców hoteli robotniczych, którzy zorientowali się szybko, że zostali oszukani, bo na Śląsku owszem, można było zarobić, ale za pracę znacznie cięższą i w znacznie większym wymiarze czasowym, niż gdziekolwiek. Starzy Ślązacy czuli się coraz bardziej obco w swoich osadach, osaczonych ze wszystkich stron przez betonowe silosy mieszkalne, zamieszkałe przez wciąż rosnące zastępy przybyszy.

Natomiast problemu podziału rodzin nie rozwiązała nawet akcja "łączenia rodzin" za Gierka, który w zamian za wypuszczenie kilkuset tysięcy Ślązaków zainkasował od Niemców miliard marek - miliard, który w latach dziewięćdziesiątych został przeznaczony na finansowanie wspólnych polsko-niemieckich projektów. Szansę na wyjazd mieli za Gierka wszyscy, nawet powstańcy śląscy i ich potomkowie, którzy jako emeryci ze "starego portfela" nie potrafili związać końca z końcem, a ponadto nie czuli się na Śląsku "u siebie". To nie był już ich kraj.

Wyjeżdżali więc gremialnie, zasilając formalnie szeregi "wypędzonych" z dowodem wypędzenia "A", podczas gdy ich polscy małżonkowie otrzymywali dowód "B". Łącząc jedne rodziny, rozrywano drugie i w ten sposób, gdyby Niemcy nie zorientowali się, że ich "łódź jest pełna" i gdyby trwało to jeszcze przez kilkanaście lat, na Śląsku nie pozostałby już chyba ani jeden rodowity Ślązak. Ba, wyjeżdżali nawet niektórzy z tych, co przez lata byli podporą systemu komunistycznego w Polsce.

Wyjeżdżający dzięki Gierkowi, mimo iż uznani za "wypędzonych", tylko sporadycznie zapisywali się do ziomkostw. Nie utożsamiali się z krzykliwymi hasłami liderów Związku Wypędzonych, a zjazdy ziomków były dla nich przede wszystkim okazją do spotkań z dawnymi sąsiadami, rozrzuconymi teraz po Niemczech. Z głośników dobiegało gromkie wołanie: "*Schlesien bleibt unser!*", a w tym samym czasie w kularach rozlegały się okrzyki zdumienia: "*Achim! Toś ty sam tyż przyjechał?*".

Różnie im się tam powiodło. Niektórzy zrobili kariery zawodowe, większość jednak musiała zadowolić się pozycją o szczebel niższy, niż w Polsce. Czuli się wykorzeni, niektórzy chcieli stać się bardziej niemieccy niż rodowici Niemcy znad Renu, lecz ci wszyscy, którzy dążyli do jak najszybszej i jak najpełniejszej asymilacji, ponieśli sromotną porażkę, miejscowi bowiem byli gotowi zaakceptować tylko tych, których celem była integracja; tych, którzy nie wypierali się swoich korzeni i swojej przeszłości w Polsce. Nikt nie wierzy ludziom, w których postawie jest wyczuwalny fałsz,

którzy zmieniają nazwiska i znając kilkadziesiąt słów w nowym języku udają, że zapomnieli tego, którym posługiwali się przez dziesiątki lat. Nie były odosobnione przypadki, że lepiej od przesiedleńców potrafili wejść w miejscowe społeczeństwo Polacy, rzuceni do Niemiec jako emigranci.

Po krótkim okresie "Solidarności" partia w Polsce zerwała się do swojego boju ostatniego, ogłaszając stan wojenny. I znowu Górny Śląsk zapłacił najwyższą cenę, tu bowiem strzelano do strajkujących górników, tu padli zabici i ranni. Życie toczyło się dalej, lecz przez kilka lat jakby wróciły skarykaturowane czasy stalinowskie: pełno patroli milicyjnych na ulicach, szpicle w pracy, a nieraz we własnym domu. Wielu teraz dopiero zdecydowało się opuścić to jedyne naprawdę własne miejsce pod słońcem, zwłaszcza ci, którym przedstawiono alternatywę: wyjazd albo więzienie. To byli pierwsi naprawdę wypędzeni po 1945 roku. Niektórzy z nich wrócili po przełomie 1989, większość jednak wrosła w kraje, do których wyjechała. Ze Śląska wyjeżdżali przede wszystkim do Niemiec, chociaż zdarzali się i tacy, których zagnało do Stanów Zjednoczonych, do Kanady czy do Australii, gdzie dołączyli do Ślązaków, których los rzucił tam tuż po wojnie, oraz do potomków starych emigrantów sprzed wojny i z dziewiętnastego wieku.

*

To nie tak, że Górnoszlązacy zawsze i bez wyjątku byli skazani na ciężką pracę pod ziemią lub przy wielkim piecu albo na uprawianie swoich nędznych paru hektarów roli. Wielu zdobyło wykształcenie akademickie, niektórzy porobili kariery naukowe, artystyczne, polityczne. Niektórzy doszli do wysokich stanowisk w przemyśle, inni, jak minister Mitrega czy wojewoda Ziętek, do wysokich stanowisk w rządzie i administracji. Nie oni jednak w decydujący sposób kształtowali i kształtują samopoczucie swoich ziomków. Ba, mieszkańcy innych regionów także nie postrzegają Górnoszlazaków przez pryzmat ich najwybitniejszych przedstawicieli. Kazimierz Kutz opowiadał mi kiedyś o nieprzyjemnym zdziwieniu pewnej pani, kiedy dowiedziała się, że jest Ślązakiem. A profesor Miodek? To ten wybitny znawca polszczyzny jest tylko Hanysem?!

Wykształcenie tradycyjnie nie należało do dóbr, stawianych na Górnym Śląsku zbyt wysoko. Ludzie tu nad teoretyczną i abstrakcyjną wiedzę przedkładali umiejętności praktyczne. Większość więc potwierdzała tezę o swojej przydatności jedynie do prac manualnych. Część jednak - i to coraz bardziej znacząca - potrafiła wyrwać się z robotniczo-chłopskiego

przeznaczenia i zdobyć szlify inżynierów, nauczycieli, prawników, ekonomistów, duchownych. Już przed wojną, na podzielonym Śląsku, rozpoczęło się - początkowo nieśmiało, potem coraz szerzej - kształcenie Ślązaków, wychodzenie przez nich z tradycyjnej roli ludu do najcięższej harówki, nie wymagającej specjalnych kwalifikacji. Po wojnie wielu z tych, którzy pozostali na Śląsku, także nie poprzestawali na szkole zawodowej, a ci, którzy zostali zmuszeni do wyjazdu bądź zdecydowali się na wyjazd w późniejszym okresie, również zaczęli dbać o edukację swojego potomstwa.

Własnej historii jednak musieli uczyć się niemal wyłącznie z opowiadań rodzinnych i z albumów, które są w niemal każdym śląskim domu. Bardzo często okazywało się, że oficjalna historia, zarówno ta, której uczono w Polsce, jak i ta, której uczono w Niemczech, zupełnie nie pokrywa się z tym, o czym rozmawiano w domu. Gdybyśmy ulegli propagandowej interpretacji historii Śląska, obojętnie czy z polskiego czy niemieckiego punktu widzenia, to nie było chyba rodziny, w której nie znaleźliby się ludzie o biografii całkowicie zaprzeczających tak zwanym obiektywnym zjawiskom historycznym. Ba, gdyby rozpatrywać te odstępstwa w kategoriach ilościowych, być może okazałoby się, że wiele z tego, co w polskiej i niemieckiej historiografii napisano na temat Śląska, nie dotyczy większości ludzi, którzy tu żyli, ponieważ ich tożsamość odbiegała zarówno od polskich, jak i niemieckich norm. Czy więc nauka, pomijając doświadczenia znaczącej grupy ludzi, rzeczywiście jest obiektywna?

Powiedzmy otwarcie, że historia Górnego Śląska, i to nie tylko historia najnowsza, nie została do końca zbadana, gdyż interpretacje faktów nadal zależą od narodowościowego punktu widzenia historyków i - co jeszcze gorsze - polityków i polityków. W nieunikniony sposób historia Górnego Śląska jest więc dość powszechnie traktowana jako historia konfliktu polsko-niemieckiego. Tymczasem historia tego regionu jest o wiele bardziej skomplikowana. Po pierwsze: Górny Śląsk, to nie tylko Polacy i Niemcy, lecz także Morawianie i Ślązacy - ludzie unikający deklaracji narodowościowych, ograniczający się do tożsamości regionalnej, którą niektórzy od początku lat dziewięćdziesiątych starają się podnieść do kategorii narodu. Jeśli zaś idzie o konflikt polsko-niemiecki, to wielu Górnoszlązaków, którzy żyli bądź nadal żyją na tej ziemi, może zaświadczyć o dobrej współpracy Polaków i Niemców, o przyjaźni, a nawet o więzach rodzinnych, łączących ich z ziomekami o odmiennej opcji narodowej. Można przytoczyć dziesiątki, o ile nie setki,

przykładów świadczących o tym, że ludzie pomagali sobie nawzajem nawet w najgorszych czasach: znane są przypadki "zadekowania" powstańca śląskiego na posadzie woźnego w szkole, odległej o kilkadziesiąt kilometrów, przez jego sąsiada, który należał do SS. Podobne sprawy zdarzały się także po wojnie, gdy polscy Górnoszlązacy poświadczali polskość swoich sąsiadów, żeby ich nie wysiedlono.

Nie należy ulegać złudzeniom: przypadki takie, nawet jeśli były stosunkowo liczne, należały jednak do wyjątkowych. W czasach totalitaryzmów, a nawet przedtem, gdy Polska czuła się jeszcze niepewnie z odzyskaną po stu dwudziestu trzech latach niepodległością, a Niemcy nie potrafiły pogodzić się z wynikami przegranej, wywołanej przez nich pierwszej wojny światowej, regułą była niechęć, nienawiść, przemoc i denuncjacja. O tym wszystkim wiadomo. Mimo to nieuwzględnianie w dniu dzisiejszym drugiej strony, uporczywe oglądanie się za siebie i stałe powoływanie się na doświadczenia poprzednich generacji, poprowadziłyby mieszkańców Górnego Śląska donikąd: sytuacja zmieniła się diametralnie i w latach dziewięćdziesiątych Niemcy stały się najpewniejszym sojusznikiem Polski w dążeniu do struktur europejskich i NATO. Po raz pierwszy od wieków Niemcy i Polacy stanowią nie tylko swoistą "wspólnotę losów", tak jak stało się to po wojnie, kiedy jedni i drudzy zostali wypędzeni na zachód z ziem, na których żyli od pokoleń, lecz łączy ich także wspólnota interesów. Interesy zaś - gospodarcze i obronne - są o wiele lepszą gwarancją przyszłości, niż jakakolwiek ideologia. Dziesięć lat temu nie było to jednak tak oczywiste.

*

Rok 1989, pięćdziesiąty po wybuchu drugiej wojny światowej, był właściwie dopiero pierwszym rokiem, w którym zaczęły się cofać jej skutki: jałtański podział na strefy wpływów, dwubiegunowy podział świata, a w sprawach polsko-niemieckich po raz pierwszy w dwudziestym wieku, a właściwie po raz pierwszy od pierwszego rozbioru Polski, zarysowała się szansa na dobre ułożenie wzajemnych stosunków.

Jedną z konsekwencji wywołanej przez Hitlera wojny i w jej wyniku przesunięcia Polski na zachód było pozostanie w granicach Rzeczypospolitej znacznej liczby ludności, która zachowała tożsamość niemiecką, mimo iż wielu jej przedstawicieli nie znało w dostatecznym stopniu języka niemieckiego. Ba, błędy Polski Ludowej popchnęły w stronę niemieckości wielu Ślązaków indyferentnych narodowo. Dopiero po długich staraniach

zarejestrowano stowarzyszenia mniejszości niemieckiej. To z kolei ułatwiło zainicjowanie procesu porozumienia i współpracy polsko-niemieckiej. To, co zajęło tu kilka linijek, jest skomplikowanym procesem, który nie jest i długo jeszcze nie zostanie zakończony. Na Górnym Śląsku daleko nie wszyscy są zwolennikami zbliżenia z Niemcami, niektórzy wciąż uważają mniejszość niemiecką za zdrajców narodu polskiego - dotyczy to w głównej mierze nowych Ślązaków, a więc tych, którzy przyjechali na Górny Śląsk kilkanaście lub kilkadziesiąt lat temu, lecz bynajmniej już nie żyją na walizkach i wiążą swoje plany życiowe z tym regionem. Lecz i wśród członków mniejszości zdarzają się jeszcze postawy, nazwijmy to efemistycznie, polonofobiczne.

Odpowiedź na pytanie, kto jest Ślązakiem, jest prosta: każdy, kto się nim czuje. W związku z tym jednak nie można w żadnym wypadku mówić o jednolitym obrazie Ślązaków na modłę homogenicznego Polaka, obowiązującą w Polsce Ludowej i zapieczoną w ociążałych mózgach ludzi, dla których pojęcie narodu stoi przed pojęciem człowieka. Jednolite wzory postaw i przekonań zdarzają się tylko w propagandzie. Górnoślązacy wchodzą w wiek dwudziesty pierwszy zróżnicowani: nadal są Polakami, Niemcami, tylko-Ślązakami, ale mogą być także Morawianami, Żydami, a nawet Ukraińcami. Nadal zdarzają się wśród nich różnice zdań na wiele tematów. I nadal mogą wyznawać różne religie, a także być biedni lub bogaci, ale niezależnie od wszelkich różnic, to głównie na ich barkach spoczywa sprawa transformacji gospodarczej regionu, od której zależy pomyślność całego kraju i jego szanse w Europie. A przy tym największymi przegranymi przemian ostatniego dziesięciolecia stali się ci, do których strzelano w grudniu 1981, a teraz, kiedy ich sprawa zwyciężyła, trzeba zamykać kopalnie, dla których żyli od pokoleń. Równocześnie jednak, jak nigdy dotychczas mają szansę na to, by dzięki nim ostatecznie przezwyciężyć antagonizmy polsko-niemieckie, by Górny Śląsk, który zawsze był kością niezgody, zaczął odgrywać rolę łącznika pomiędzy Polakami i Niemcami. Tu bowiem, w tygłu, w którym możliwy był niemal każdy paradoks w biografiiach żyjących w nim ludzi, obok pojawiających się sporadycznie paroksyzmów gniewu zawsze istniały niezmiernie pokłady tolerancji dla inaczej myślących, a nawet zupełnie obcych. To był bowiem na tej ziemi warunek przetrwania. A więc wielu Górnoślązaków wie, że należy skoncentrować się na tym, co łączy ludzi, że to właśnie należy wyakcentować i nadać temu odpowiednią rangę, by Górnym Śląskiem przestały rządzić duchy niedobrej przeszłości. To właśnie tu, na Górnym Śląsku, można znaleźć

najwięcej przykładów porozumienia i pojednania. I to jeszcze z czasów, kiedy oba te pojęcia w stosunkach polsko-niemieckich uważane były za zdradę stanu i jako takie były ścigane z mocy prawa. Dążenie do tego, by Górny Śląsk stał się pomostem Polski do Europy długo jeszcze pozostanie zobowiązaniem pod adresem współczesnych.